

RĘCE MNIE JUŻ PARZĄ

rozmawia Jacek Tomczuk

Przez wiele lat publiczność była dla mnie egzaminatorem. Dziś to ja nią rządzę, chcę po prostu grać muzykę i szkoda mi czasu na podtrzymywanie tej całej medialnej bańki wokół mnie – opowiada Leszek Możdżer



Żniwa w pełni...

– W tym roku 90 procent koncertów, które zagrałem, to Chopin. Dopiero minął lipiec, a ja byłem już chyba na wszystkich kontynentach: Chiny, Japonia, Singapur, Malezja, Francja, Włochy, Niemcy... Przez pół roku zarobiłem na dwa fortepiany – jeden ćwiczeniowy, a drugi półkoncertowy. Fazioli – piękna rzecz, ręcznie robiony. Firma wydaje na rynek tylko kilkadziesiąt sztuk rocznie. Dziękuję ci, Chopinie, że będę miał fajny instrument w domu. Myślę, że odmówiłem udziału w 50 projektach. A telefon ciągle dzwoni, żeby opracować na nowo Chopina – a to zrobić go z hiphopowcami, a to na jazzowo, a to do filmu. A ja nie chcę. Uważam, że Chopina nie powinno się przerabiać, dotykać, że powinien być grany nuta w nutę.

I dlatego grasz go z Tymonem Tymańskim? To muzyczny rzeźnik.

– Miałem właściwie jeden pomysł, jak ugryźć Chopina na nowo: wziąć muzycznych chuliganów, takich jak Tymon i jego Polish Brass Ensemble, i zrobić to w sposób bezczelny.

No to ja już nic nie rozumiem.

– W przypadku Chopina opisana jest każda nuta – czy jest grana szybko, czy wolno, głośno czy cicho. Frycek odnotował każde przyciśnięcie pedału. Muzykolodzy rozkminają strukturę każdego utworu, wychwytyją, że powtórzenia ósmiotaktowe są identyczne, ale w trzecim takcie jest inny składnik w lewej ręce. Pamiętam te uwagi z dzieciństwa od nauczycieli: popatrz, tam Chopin napisał mezzo forte z akcentem forcato na przedostatnią nutę, nie możesz akcentować ostatniej. A tych nut tylko w jednym takcie jest 24 i naprawdę trudno się połapać. Od lat działa potężny urząd kontroli wykonań Chopina. W Polsce mamy wpojony tak wielki szacunek do tego artysty, że trudno go wytargać za czuprynkę, poklepać po policzku. No więc pomyślałem, że jedynym pomysłem, jaki na niego mam, to wykonanie go na bezczelnie – wypatroszymy z Tymonem Chopina, spalimy jego nuty i będziemy tańczyć przy ognisku.

Ale ten projekt przygotowałeś dla dzieciaków na Przystanek Woodstock, żeby w ogóle chciały cię słuchać. Na fortepiany zarobiłeś, grając po ambasadach i polskich instytutach kulturalnych swój materiał sprzed 10 lat.

– To prawda, ale czuję już lekki niesmak. Właściwie robię za takiego ambasadora, jeżdżę po świecie i gram Chopina. I generalnie Polacy, którzy przychodzą na moje koncerty w Paryżu, Szwajcarii czy Kuala Lumpur, płaczą, słuchając go, bo wiedzą, że to nasz rodak, który osiągnął wspaniałą poziom. To piękne, ale ja jestem artystą, reprezentantem rasy ludzkiej, a nie tylko polskiego narodu. Chodzi mi o to, by podczas koncertu przeżyć coś razem z publicznością, nieważne, jakiej narodowości. Czuję, że dałem sobie nałożyć zbroję, dostałem złotą włócznię do ręki, ludzie klepią mnie po ramieniu i mówią: idź w świat i głoś chwałę Chopina. Tylko że w tej kupie żelaza jest bardzo niewygodnie, a chorągiew ciężka. Nie dam się zamknąć w szkatule reprezentanta polskiej sztuki.

Przyjmujesz zamówienie, grasz, pieniądze lądują na koncie... O co te pretensje do świata?

– Ja za każdym razem reprezentuję Polskę. Niezależnie od tego, czy gram Chopina w ambasadzie, czy w instytucie polskim, czy jazz, piano solo w klubie. Oczywiście jeśli to jest oficjalny występ, zakładam garnitur, ale tak naprawdę wiem, że na koncert przyjdą ludzie; nieważne, czy są urzędnikami państwowymi, czy nauczycielami. Chodzi o to, by na moment zaczarować rzeczywistość. Ja chyba po prostu kiepsko czuję się w takich oficjalnych sytuacjach.

Mówisz o politykach? Może porozmawiamy o twoich poglądach?

– Prawica, lewica, liberałowie... Ja jestem ponad to. Wychodzę na scenę już prawie 20 lat i sporo miałem zamówień od polityków. Oni się zmieniają, co chwila gram dla kogoś innego, a fortepiany są te same. Po paru latach przyjeżdżam do znanej mi ambasady, gdzie kiedyś grałem, z lotniska odbiera mnie ten sam kierowca co poprzednio, ta sama sekretarka przynosi kawę, ale reszta jest już z nowego rozdania.

Od jakich polityków miałeś zamówienia?

– Nie rozróżniam ich. Od wielu.

Nie odróżniasz Oleksego od Kaczyńskiego?

– No ich odróżniam, ale mam to szczęście, że nie gram na imprezach określonych partii. Raczej przyjmuję zamówienia na rocznice, uroczystości państwowe.

Ile dni spędziłeś w tym roku w domu?

– Ze dwa tygodnie, góra miesiąc. Ale to, że podróżuję, nie oznacza, iż życie leży odłogiem. Jak dzwoni kafelkarz, żeby spytać, jaki kolor położyć w łazience, to mówię mu, że jestem w Los Angeles, ale potem zagram w Singapurze i przyjadę na piątek do domu, to pojedziemy do sklepu i coś wybierzemy. Mnie to urzeka we współczesnej technologii, że w gruncie rzeczy zawsze czuję się jak u siebie na osiedlu. To zająbiste.

Lubisz życie w trasie?

– Czyli pytasz mnie, czy narzekam na swoje życie? Oczywiście mógłbym wymieniać irytujące sytuacje w rodzaju ściągania dwa razy dziennie paska na lotnisku, żeby przejść przez bramkę. Mam też buty z klamrami i jeśli je założę, to zawsze muszę je zdjąć, bo brzęczą. Albo problem z zasilaczami do wszelkiego rodzaju urządzeń elektrycznych. Przecież w różnych częściach świata kontakty są różnych typów, a jak nie wezmę z domu zasilacza – a w hotelu zwykle ich nie ma – to nie mogę nawet naładować telefonu. Ale to drobiazgi.

Tak naprawdę życie w trasie jest łatwe. Jestem głodny, to dzwonię na recepcję. Potrzebuję pary czarnych skarpetek? Telefon do road managera. A w domu jestem sam. Lodówkę trzeba umyć, zepsuła się pralka, zakupy...

Gwiazdorzysz?

– W trasie lubię sobie pospać, ale prawda jest też taka, że doba hotelowa kończy się zwykle o 11, a artyści nikt nie chce długo trzymać. Chodzi o to, żeby przyjechać, przespać się (najlepiej w nie za drogim hotelu), zagrać i jak najszybciej wyjechać (najlepiej od razu po koncercie). Pobyt artysty to koszt. Artysta to osobnik dość uciążliwy, a z gwiazdą to już same kłopoty. A jak, nie daj Boże, jeszcze jakiś festiwal, to ich nagromadzenie kończy się frustracją. Nagle dowiaduję się z plakatów, że gwiazdą imprezy są nazwiska, które widzę po raz pierwszy. No to sobie myślę, że może dla innych artystów też jestem takim nazwiskiem.

W ogóle rynek gwiazd dziwnie się zaburzył. Właściwie w świecie jazzu jest ich parę: Herbie Hancock, Wayne Shorter, Chick Corea, Pat Metheny... Z czystym sumieniem można wymienić 10 nazwisk. Jednak nastawiony na zysk rynek zrobił błąd i nie kreuje nowych gwiazd. Zaraz okaże się, że nie ma kogo dać na plakat, żeby festiwal dobrze się prezentował. Zresztą to nużące słuchać w kółko tych samych ludzi, którym nie chce się już ćwiczyć i robić nowych rzeczy.

Same koncerty pochłaniają w trasie najmniej czasu. Tak naprawdę najwięcej spędza się go na lotniskach. Oczywiście są one fascynujące przez pierwszy rok, ale po trzech sezonach już wiesz, że wszystkie wyglądają podobnie. No i to jedzenie. Jadłeś coś smacznego na terminalu? Znam tylko jedną dobrą restaurację – włoską na lotnisku w Monachium. W samolotach mogę zasnąć w każdej pozycji. Tylko czasami nie wierzę własnym oczom, kiedy widzę, ile miejsca na nogi przeznaczają niektóre linie lotnicze. Ktoś powinien za to pójść do więzienia. Albo przez rok latać za karę na takim siedzeniu. To zaczyna się robić niehumanitarne. Kiedyś za metafizyczny uznawałem moment oderwania się od ziemi. Teraz coraz częściej go przesypiam. Ostatnio zdarza mi się też przesypiać uroczysty moment lądowania. Stewardesa budzi mnie, kiedy już wszyscy wyjdą.

Czego można się nauczyć, jeżdżąc z miasta do miasta?

– Pokory. Ostatnio grałem na festiwalu pod San Remo, kierowca przywiózł mnie na terminal, wyładowaliśmy torby i odjechał. Okazało się, że to nie to lotnisko. No co mogłem zrobić? To są sytuacje, kiedy całe swoje gwiazdorstwo musisz schować do kieszeni.

Nauczyłem się też, że nie warto wpadać w gniew. Owszem, ludzie po awanturze będą wobec ciebie mili, ale kiedy się odwrócisz, pokażą ci odpowiedni gest. Na Sycylii kwadrans przed koncertem na dwa fortepiany na scenie nie było żadnego. No co możesz zrobić? Tylko się śmiać. Jakimś cudem w ciągu 20 minut pojawił się jeden instrument, nawet niezłe nastrojony. Drugi nie dojechał, więc zagraliśmy na cztery ręce. Nie ma lustra w garderobie albo trzech krzeseł, chociaż mam to w kontrakcie? No to ze znajomymi, którzy przyjdą po koncercie, porozmawiam na stojąco.

Jako artysta jesteś kapryśny?

– Niebezpieczeństwo bycia gwiazdą polega na tym, że łatwo możesz sobie pozwolić na gniew. Długo

siedziałeś na lotnisku, spóźnił się samolot, jesteś niewyspany, wczoraj ktoś jak zwykle chciał się z tobą napić po koncercie... A zaraz masz stresujący występ, na którym będzie sześć kamer, twój garnitur jest trochę nieświeży, bo to już jego trzeci wieczór, a zapasowy został w poprzednim hotelu. A wszyscy są tacy mili... Nic, tylko przyciąć porządnego focha. Ludzie przyjmą go ze zrozumieniem, bo przecież artysta ma prawo się zdenerwować. Człowiek, który wpada w gniew, jest jednak trudnym partnerem i jeżeli zorientuję się, że z kimś takim mam do czynienia, unikam potem współpracy.

Nazwiska?

– Żadnych. Jednak paru muzyków wykreśliłem z notesu. Po awanturach, jakie urządzali, jedynym wyjściem byłoby palnąć im w łeb, ale nie zrobię tego, ponieważ jestem człowiekiem kulturalnym. Dobrze pracuje się z ludźmi, którzy mają dystans i ze wszystkiego robią sobie jaja. Chociaż musiałem się tego nauczyć, bo na początku myślałem, że muzyka jest sprawą śmiertelnie poważną. Żartów za to nie ma przy dzieleniu kasy. Często lider, który dzieli pieniądze, mówi, że jeszcze nie wiadomo, ile to będzie, bo jest nadbagaż, więc zadzwoni w przyszłym miesiącu. To rodzaj subtelnej upokorzenia, bo nie wiesz, za ile grasz.

Za to pewnie wiesz, za ile chałturzysz na firmowych imprezach.

– Ktoś robi imprezę i zależy mu na kulturalnej, artystycznej oprawie, więc dzwoni do mojej menedżerki po Możdżera. I to daje mi wielką szansę, bo spotykam ludzi, którzy prawdopodobnie nigdy by nie przyszli na mój koncert. Impreza jest sztywniacka, wszyscy w garniturach, jest nieznośnie miło i ja zadaję im cios znienacka. Wychodzę jako długowłosa pianista w kolorowym garniturze i zamiast rozrywki, której się spodziewają, napierdalam im Lutosławskiego. I cała ta finezyjna konstrukcja z koreczków śledziowych i zawiązanych krawatów przestaje obowiązywać.

Jeszcze nie słyszałem takiej pochwały chałtury.

– Chałtura to granie czegoś, czego nie kochasz i nie chcesz grać, ale robisz to dla pieniędzy. A jeżeli grasz to, co kochasz, w co wierzysz, tyle że za większą kasę niż zwykle, to nie jest chałtura.

A często grasz za większą kasę niż zwykle?

– Często, parę koncertów w miesiącu. To są mocne przeżycia okraszone poczuciem absurdu.

Tomasz Stańko kupił mieszkanie w Nowym Jorku, Kuba Wojewódzki też. Nie kusi cię dobry zagraniczny adres? Przecież masz ambicje, by zrobić międzynarodową karierę.

– Oczywiście, kiedyś chciałem mieć jedno mieszkanie w Tokio, jedno w Nowym Jorku, jedno w Paryżu... Ale jak masz sześć adresów, to musisz kupić sześć czajników, tyle egzemplarzy książki, która jest dla ciebie ważna. Wszystko zaczyna się komplikować, bo już teraz nie pamiętam, czy swój keyboard Virus HC zostawiłem w mieszkaniu w Sopocie, czy we Wrocławiu. Może Tomkowi jest trochę łatwiej – bierze trąbkę pod pachę i problem z głowy.

Mam to szczęście, że kiedy jestem w trasie, w moich domach mieszkają przyjaciele, wielu ludzi ma klucze. Czasami to się przydaje, bo jak zapomnę nut, to dzwonię do kogoś i proszę, by wysłał mi je faksem do hotelu. Puste domy są strasznie depresyjne i zakurzone.

Co będziesz robił, gdy skończy się Rok Chopinowski?

– Generalnie mam taki moment, że zająłem się innymi dziedzinami życia niż tworzenie muzyki, nagrywanie płyt. Owszem, gram Chopina, ale tak naprawdę w tym roku zadbałem o siebie. Przez lata miałem życie szczerze wypełnione planami koncertowymi, zleceniami kompozytorskimi, przymuszałem się do ciągłego rozwoju. Miałem dobre brzmienie, kompozycje i życie w rozsypce: lęk przed kobietami, nieumiejętność spontanicznego wyrażania własnych pragnień.

To może wakacje?

– Tylko raz byłem na dłuższych wakacjach. W zeszłym roku zaczął mnie boleć kręgosłup. Kiedy powiedziałem lekarzowi, że ostatni raz miałem wolne 12 lat temu, od razu zarządził: wakacje zamiast operacji. Wtedy panicznie się bałem, że gdy zejdem ze sceny, ludzie o mnie zapomną. A okazało się, że mają już tyle medialnych informacji o Możdżerze, iż nikt mojej nieobecności nawet nie zauważył. Ja jednak już nie powtórzę tego błędu. Miesiąc odstawienia od fortepianu spowodował, że przez rok dochodziłem do formy.

Jesteś zmęczony czy wypalony?

– Wprost przeciwnie, jestem w życiowej formie. Jak wychodzę na scenę, nie mam wątpliwości, że jestem dobrym pianistą. Wiem to, czuję, widzę po reakcji publiczności. Potrafię zgwaścić każdy instrument, nawet jeżeli on gra wbrew mnie, nawet jeżeli jest słaby, to i tak wycisnę z niego niespotykane brzmienie. Gram koncert co dwa-trzy dni, mam od tego gorące ręce. One parzą. A żeby zrobić nowy projekt, trzeba mieć wolną głowę.

Przestałem też wierzyć w płyty, dziś wszyscy je nagrywają na laptopach, wydają własnym kosztem. Mieć na koncie płytę to już żaden sukces. Po płycie nie jesteś w stanie ocenić, czy to dobry artysta, bo w montażu i tak wszystko można wyczyścić. Dziś to scena jest probierzem artystycznych umiejętności.

Kiedyś mówiłeś, że przez lata bałeś się występów. Polubiłeś je?

– Gram publicznie od siódmego roku życia, najgorsze były egzaminy dla szkoły i rodziców. Tata mówił: wyprostuj się, pani od muzyki: wiesz, ten drugi utwór zagrałeś za szybko, ktoś inny: za dużo lewej ręki, za dużo pedału, za głośno. I wszyscy, którzy mnie słuchali, wiedzieli lepiej ode mnie, co zrobiłem źle. Niedawno miałem w SPATiF-ie przypadkową rozmowę, jakiś koleś zaczął opowiadać, że moja twórczość jest niekonsekwentna, niesymetryczna... Strasznie się tym przejąłem, zacząłem się tłumaczyć, aż w końcu mnie oświeciło: spytałem, jaka jest tercja w C-dur. I on nie wiedział. Nie wiedział, a wypowiadał się o mojej twórczości. To tak, jakby podszedł do ciebie ktoś, kto wychował się na katalogach samochodowych, i zaczął mówić, jakie błędy popełniłeś, robiąc „Przekrój”. Więc powiem teraz temu koledze, że tercją w C-dur jest dźwięk E. Dopiero niedawno zorientowałem się, że ludzie, którzy przychodzą na koncert, wiedzą o muzyce mniej niż ja. To było dla mnie odkrycie, że mogą pozwolić sobie na rodzaj arogancji wobec nich. Gram etiudę Witolda Lutosławskiego, w której notorycznie mylą się na trzeciej stronie i nikt tego nie słyszy. Mogę trochę poimprovizować i wrócić do nut. Przez wiele lat publiczność była dla mnie egzaminatorem. Ale już się wyplakałem nad tym moim dzieciństwem i pogodziłem się.

No i?

– Poczułem ulgę. Do niedawna bardzo sztywno broniłem swojego wizerunku, uważałem na każde słowo, publiczny ruch. Teraz zupełnie odpuściłem. Nie wiem, co z tego wyjdzie, za to wiem, że nie byłem szczęśliwy, więc może opląca się trochę poluzować. Kiedy spotkałem Davida Gilmoura, powiedział mi, że chciałby być ponownie nieznanym muzykiem. Że teraz wystarczy, iż weźmie gitarę do ręki, coś brzęknie, a już zgłaszają się po to wytwórnice, drukują plakaty, rusza trasa, bo każdy chce zrobić z nim big deal. Zobaczyłem, że on nie może pograć ot tak, bo wielki sukces odebrał mu tę wolność.

Nie ma już jednak powrotu do anonimowości – ani dla niego, ani dla ciebie. Marudzicie jak typowe gwiazdy.

– Nie dam się wtłoczyć w rolę maszynki do robienia pieniędzy. Weźmy choćby koncert Moździer+ na Solidarity of Arts: miliony złotych budżetu, trzy sceny, wielka odpowiedzialność... Gdybym zaczął się zastanawiać, ile to kosztuje, ile ludzi nad tym pracuje, to nie miałbym siły grać.

Ma to być podsumowanie twojej 20-letniej działalności, a nie zaprosiłeś na scenę Preisnera, Tumańskiego, Makowicza... Ludzi, którym – jak sam mówiłeś – zawdzięczasz najwięcej.

– Rzeczywiście. Praca nad tym koncertem trwa już od dwóch lat. Przyszedł do mnie Krzysztof Materna, pomysłodawca i reżyser całego zamieszania, i zapytał, z kim chciałbym zagrać. Byłem wtedy w kiepskiej formie psychicznej i powiedziałem, że jest mi wszystko jedno. To on rzucił takimi nazwiskami jak Marcus Miller, John Scofield... A ja kiwałem głową i dorzuciłem kilku swoich przyjaciół, takich jak Naná Vasconcelos, Zohar Fresco czy Lars Danielsson. Wszystko zapisaliśmy na papierze, Krzysztof wraz ze sprawną ekipą zaczął przygotowania. Po paru miesiącach okazało się, że kontrakty są już podpisane i teraz muszę zrealizować zadanie, jakie przede mną stoi.

Kiepskie podejście jak na podsumowanie swojej twórczości.

– Podsumowania są iluzją. A ja wiem, że życie toczy się dalej i takich wydarzeń będzie w przyszłości jeszcze wiele.

Zrywasz ze swoimi dotychczasowymi autorytetami?

– Zawsze miałem tendencję do przesuwania odpowiedzialności za moje życie na osoby trzecie. Teraz nauczyłem się, że to ja decyduję za siebie, ale cały czas jestem otwarty na sugestie innych. Poza tym uleganie czarowi autorytetu ma swoją ciemniejszą stronę. Po prostu tracisz wolność i własną ekspresję. Chcesz kogoś naśladować, pragniesz komplementów i robisz wszystko, by się dopasować, zamykasz się na siebie. A każdy jest inny i nie ma jednej drogi dla wszystkich. Jestem teraz na etapie odrzucania autorytetów.

Powiem ci jeszcze, jak odnalazłem szczęście. Może nie wszyscy to skumają, ale... Jest w umyśle takie miejsce, kiedy jedna myśl się kończy, a inna jeszcze nie zaczęła. I jest przestrzeń między tymi myślami, taki moment, i tam trzeba wskoczyć. I przez tę szczelinę możesz dostać się do samego siebie, Boga, swojej szczęśliwości...

Próbowaleś?

– Oczywiście.

rozmawia Jacek Tomczuk „Przekrój” 32/2010

Leszek Moździer, rocznik 1971. Pianista, kompozytor, artysta pracoholik. Ukończył Akademię Muzyczną w Gdańsku, ale pierwsze sukcesy przyniosła mu współpraca z jazzmanami: Zbigniewem Namysłowskim i Tymonem Tumańskim w grupie Miłość. Współpracował z Janem A.P. Kaczmakiem, Zbigniewem Preisnerem, Davidem Gilmourem czy Lesterem Bowiem. Na scenie znakiem charakterystycznym

pozostają jego kolorowe garnitury. Jak sam przyznaje, pierwszy kupił w Berlinie w sklepie gejowskim.

Program festiwalu Solidarity of Arts:

18 Sierpnia - 19 Sierpnia

WARSZTATY MUZYCZNE GWIAZD SOLIDARITY OF ARTS 2010

20 Sierpnia - 30 Sierpnia

PLENEROWA PREZENTACJA ZREKONSTRUOWANYCH CYFROWO MATERIAŁÓW FILMOWYCH Z OKRESU POWSTANIA I POCZĄTKÓW SOLIDARNOŚCI - MATERIAŁY ARCHIWALNE FUNDACJI ARCHIWUM FILMOWE W GDAŃSKU

21 Sierpnia.18:30

OTWARCIE WYSTAWY FOTOGRAFII MARKA KAREWICZA

21 Sierpnia.20:45

PRZESTRZEŃ WOLNOŚCI: WIDOWISKO JAZZOWE MOŹDŻER+. W ROLACH GŁÓWNYCH: LESZEK MOŹDŻER, JOHN SCOFIELD, MARCUS MILLER, EDDIE DANIELS, CHARLES FOX, NANÁ VASCONCELOS, LARS DANIELSSON, ZOHAR FRESCO, MOTION TRIO, AUKSO, GABA KULKA

29 Sierpnia.19:00

VIVO XXX: PREMIERA NOWEGO DZIEŁA PAWŁA MYKIETYNA. PATRONAT HONOROWY: LECH WAŁĘSA

5 Września. 19:00

MAKBET - OPERA GIUSEPPE VERDIEGO W REŻYSERII MARKA WEISSA

8 Września. 19:00

BIAŁA BLUŻKA - SPEKTAKL NA PODSTAWIE OPOWIADANIA AGNIESZKI OSIECKIEJ W ADAPTACJI I REŻYSERII MAGDY UMER; KIEROWNICTWO MUZYCZNE I ARANŻACJE: JANUSZ BOGACKI. W ROLI GŁÓWNEJ KRYSZYNA JANDA

Copyright © 2005-2011 Wydawnictwo "Przekrój" sp. z o.o.